

MANIPULACJA



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

MANIPULACJA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-66-8

Copyright © Ireneusz Iredyński

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1975

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

I

Gdyby mi ktoś dawniej powiedział, że przyczyną uwikłania się w kryminalną historię może być nieznamość języków obcych, tobym poprosił o wyjaśnienie. Teraz mi już żadne wyjaśnienie nie jest potrzebne.

Wszystko zaczęło się przed kilkoma miesiącami, dzwonek, wszedł listonosz, rozporek miał rozpięty, „panie Zenku, niech się pan tą sąsiadką z dołu tak nie chwali” powiedziałem i pan Zenek zapiął, co trzeba.

List na kredowym papierze, równa czcionka maszyny elektrycznej, do mięsistego papieru przypięty był spinaczem bilet lotniczy. Zrozumiałem tylko tyle, że piszą do mnie panowie Kunsthaus i Müller z Zurychu, a list jest skierowany do mnie, Stefana Pękały, chociaż tam było napisane Pekala, wiadomo, nie mają „ę” i „ł” w maszynie; długopisem dorobiłem ogonek przy „e” i przeciąłem skośnie kreseczką „l”, po czym zaniósłem list do naszego dozorca, aby mi przetłumaczył. Okazało się, że Kunsthaus to nie nazwisko, tylko dom sztuki, galeria inaczej. Müller bez wątpienia nazwisko. Galeria i Müller zapraszali mnie na pół roku do Zurychu jako „artystę znanego międzynarodowej publiczności”, dając mi „środki umożliwiające dowolne działanie artystyczne” i proponując urządzenie wystawy prac z mojego ostatniego okresu „nożnego”.

„Myślę, że dobrze zapamiętałem te sformułowania, gdyby były wątpiwości, to można sprawdzić w Warszawie, list leży w moim biurku... Nie, nie będą mieć wątpiwości co do zaproszenia, wątpiwości policji szwajcarskiej, jak wiadomo, są zupełnie innej natury” napisałem kilka dni temu w liście do urzędnika ambasady polskiej w Bernie, pana Sobusia, który odwiedził mnie w więzieniu zaraz po moim aresztowaniu i obiecał wszelką możliwą pomoc. Na razie siedzę. Opowiedziałem temu Sobusiowi, co mi się przydarzyło, potem wysłałem jeszcze kilka listów, ot tak, z nudów, nie miałem przecież nic istotnego do dodania. Więcej już do niego pisać nie będę, wypełnię sobie czas opisem moich ocipieństw; właśnie to czynię. Cela czysta i widna, żarcie możliwe, pewien rodzaj wesołości mnie po aresztowaniu ogarnął i jak dotąd – trzyma.

List od Müllera przyszedł w porę, wyprztykałem się właśnie z forsy, a chałupie, którą mi budowano na Mazurach, potrzebne były futryny, drzwi, podłogi, łazienka i ogólne wykończenie. Spodziewałem się, że w Zurychu zarobię, nie zapraszano by mnie inaczej, galeria to nie fundusz stypendialny ani inny „Caritas”. Nie liczyłem na kokosy, znałem swoją wartość rynkową na Zachodzie, takim facetom jak ja płaci się po kilkaset dolców za pracę, nie inwestując dużego szmalu w reklamę, młyny rynkowe miały dzisiaj dużo i prędko, potrzeba im wciąż nowego ziarna, może być z Ekwadoru, może być z Polski. Zaprosili mnie dlatego, że pewną markę już miałem (kilka wystaw indywidualnych w Europie i jedna w Stanach), niewiele prac zakupiono, ale prasę miałem taką sobie, przynajmniej w tłumaczeniu znajomych.

Wyjazd, zdawało mi się, zakończy okres zawieszenia, letniości raczej, gdy wszystko było nijakie, ciągnął się ten okres już dość długo, praca mi nie szła, popadałem w rutynę, najpierw złościło mnie to, a później powieleałem już samego siebie bez specjalnych wzdragań, z kobietami miałem jakieś nudne dla obu stron sprawy, często popadałem w apatię, nawet wódka mi za gładko w gardło nie wchodziła; wyjazd, przez swą fizyczność, miał stanowić kres bezjajectwa.

Poza tym wszystkim miał to być mój pierwszy samotny wyjazd za granicę, poprzednio towarzyszyli mi zawsze urzędnicy „od kultury”, bardzo podobni w stylu bycia do Sobusia, taka sama gładkość w obejściu, mowa stateczna, niespieszna, słowa podawane z namysłem, a na dzień tego wszystkiego strach przed jakąś wredną niespodzianką. Goście ci byli dla mnie wprost bezcenni, informowali nie tylko o cenach prac, ale odpowiadali za mnie na wszelkie pytania, a to dlatego, że oni znali języki obce, a ja mówiłem tylko po polsku. O ile się nie

myślę, trochę mną pogardzali, a trochę mi zazdrościli, uważali mnie chyba za przygłupiego dziwaka, który miał fart. Ja na wernisażach popijałem i pozwalałem się fotografować, ci z aparatami pstrykali gęsto, twarz brzydka i pobrużdżona, z dziurą w czole, musiałem rajcować ich zawodowo.

W upadku ze schodów w dzieciństwie (stąd to wgłębienie w moim czole) upatrywałem przyczynę niemożności nauczenia się jakiegokolwiek języka obcego, chociaż wiedziałem, że jest to próba dość naiwnej racjonalizacji tajemnicy, bo jakże inaczej nazwać tę moją nieprzenikliwość językową, gdy posiada się warunki sprzyjające opanowywaniu obcych mów, dobrą wolę, znakomitą pamięć i niezły słuch. Zaczynałem się uczyć kilkadziesiąt razy. Języki obce były dziwkami dostępnymi dla wszystkich, powiadałem sobie, oprócz mnie. Po cóż zresztą mówić o zachodnich językach, różniących się znacznie od polskiego, kiedy nawet pokrewny rosyjski był dla mnie nieosiągalny; w gimnazjum sprzyjała mi historia, miałem opanowany życiorys Soso po polsku, dla przyzwoitości dodawałem do niektórych słów końcówkę „ow” i w tych czasach to wystarczyło, aby dostać trójkę, później na Akademii Sztuk Pięknych podobałem się lektorowi rosyjskiego i jakoś zaliczyłem.

Wysłałem do Müllera depezę (zredagowaną przez ciecica po niemiecku; honorarium: ćwiartka) potwierdzającą przyłot, potem po załatwieniu formalności drugą z terminem i godziną. Paszport dostałem po siedmiu tygodniach od złożenia kwestionariusza, wizę szwajcarską w trzy dni, musiałem uporządkować jeszcze trochę swoich spraw, dwa miesiące zeszło.

Poszedłem w dniu odlotu do fryzjera, kazałem ściąć moje konwencjonalnie spadające na ramiona włosy i gdy w lustrze zobaczyłem fryzurę amerykańskiego studenta z lat pięćdziesiątych (język z przodu wysoki na 3/4 zapałki), poprosiłem, by mi wystrzygł maszynką, a potem wygolił brzytwą, krzyż na głowie.

– Chce pan za niemiecką kurwę chodzić? – zapytał fryzjer.

– Zakład.

– O co, jeżeli można wiedzieć?

– Dziesięć flaszek.

– Opłaca się – uznał fryzjer i przystąpił do dzieła.

Na lotnisku pojawiłem się około południa, byłem we fraku, sztuczkowych spodniach, lakierkach, zamiast koszuli z plisowanym gorssem miałem batystową damską bluzkę ozdobioną haftem krzyżykowym, która opinała mój tors jak kondom wiadomo co, zarost na piersiach czerniał pod nią frywolnie; na ramionach szuba, na głowie cylinder, w ustach cygareto kupione w sklepie kubańskim, w lewej ręce podzwaniająca szkłem walizka. Moje „Nogi” w skrzyniach z wiórkami odjechały poprzedniego dnia do Szwajcarii pociągiem, klucz od mieszkania dałem rozwodzącej się znajomej, nikt mnie nie odprowadzał, nikogo nie zostawiałem, szedłem lekki i wolny, lakierki niosły mnie łyżwowo po posadzce dworca lotniczego, wszyscy oglądali się za mną tak, jak na to zasługiwał mój kostium.

Panienska przy wadze odebrała walizkę, zważyła, dała mi kartonik, usta jej drżały podejrzenie, pyknąłem cygarem i poszedłem ku dwóm umundurowanym.

Jeden starszy, po pięćdziesiątce, drugi młodzik, dwudziestodwuletni chyba, który gwizdnął na mój widok; skarcony spojrzeniem przez starszego minę zrobił pokerową, natomiast starszy uśmiechnął się, językiem lubieżnie po wargach przewinał i poprosił o paszport. Wertował go podejrzenie długo, o deklarację celną poprosił, kilkakrotnie ją chyba przeczytał, chociaż we wszystkich rubrykach dotyczących wywożonych przedmiotów słówko „nic” widniało. Oddał mi wreszcie paszport i deklarację, znów uśmiech serdeczny, miłosny prawie i przesunięcie koniuszkiem języka po wargach, „do kabiny pana na chwileńkę proszę” powiedział, a młodzik zapatrzony dotychczas w krater na moim czole „tak, tak” mu przybasował.

Do gaci mi się kazali rozebrać, spody stóp w skarpetkach mi łaskotliwie sprawdzili, portfel przejrzeni, w którym prawo jazdy i przepisowe trzydzieści pięć franków szwajcarskich się znajdowało, „może się pan ubrać” zadysponował starszy, ale ogień miłosny dalej w jego oku płonął i co chwila muskał pełne wargi językiem, z czego wywnioskowałem, że wciąż jeszcze uczucia profesjonalne do mnie żywi i obiecuje je sobie lada chwila zaspokoić; gdy już szubę miałem na ramionach, odezwał się „cylinderek proszę jeszcze zdjąć”. Objawiłem im się w całym majestacie krzyża wygolonego na łbie, młodszy znów gwizdnął, a starszy, wpatrzony w czubek mojej głowy, lunatycznym ruchem wyciągnął przed siebie rękę; wręczyłem mu cylinder, oprzytomniał. Zajrzał do środka. Wsadził rękę, puknął w denko. Oddał mi cylinder, spojrzął w oczy, usta miał zaciśnięte. „Kieszenie” mruknął bez poprzedniej uprzejmości, wyjąłem więc z głębin szuby dwa cygara, pudełko papierosów, zapalki, piersiówkę ze spirytusem, bułkę i plastikowe, okrągłe pudełeczko. Młodszy pochwycił zapalki, wysypał na rękę, przejrzał drewnianka, wsadził je do pudełka, to samo zrobił z papierosami, starszy natomiast trzymał w ręku nie otwarte pudełko i znów patrzył na mnie prawie z miłosnym wyrazem twarzy. „Co tu jest?” – zapytał potrząsając pudełkiem, które wydało suchy szelest przesypującego się piasku. „Proszek” – odpowiedziałem. „Tak też przypuszczałem” on na to powoli, odkręcając wieczko, spojrzął w czerwono-brunatną zawartość pudełka, jakby patrzył w apetycznie rozchyloną vaginę ukochanej, „składzik” wymruczał, „co proszę?”, „jaki jest skład tego proszku?”, „kari, czili i pieprz turecki”, przeniósł wzrok na mnie i minę miał taką, jakbym mu wyrządził osobistą krzywdę, „bułkę rozłamać?” zapytał młodszy, „złam, synku, złam” powiedział jakoś obojętnie, wciąż patrząc na mnie, „nie będę jadł bułki macanej paluchami” zaoponowałem, „w samolocie dobrze karmią, co tam bułka” mówi starszy i pchał już palec do pudełka, młodszy złamał bułkę i powiedział „nic”, starszy zdawał się nie słyszeć, podnosił palec z drobinkami proszku ku twarzy patrząc na mnie z leciutkim uśmiechem, powąchał najpierw ten palec, jeszcze raz powąchał, a później, oblizawszy przedtem wargi, zebrał językiem brunatną substancję z palca, mlasnęła o podniebienie, wzniosł oczy w górę, skrzywił się paskudnie i splunął. „Tak” powiedział zakręcając pudełko, „pan tu poczeka”, wręczył mi je i wyszedł; młodszy patrzył znowu na dziurę w moim czole, a ja chowałem do szuby cały ten majdan. Starszy wrócił po chwili z elegancko ubranym panem, o trójkątnej, lisiej twarzy.

– Paszport poproszę – powiedział ten nowy.

Podąłem paszport. Przejrzał, oddał.

– W jakim celu udaje się pan do Szwajcarii?

– Reprezentować nową sztukę.

– Przecież nie ma pan paszportu służbowego, tylko prywatny.

– Dupa i sztuka nie podlegają upaństwowieniu.

– Na sztuce się nie znam... Proszę iść tędy, dziękujemy.

Odlot opóźniał się, chodziłem po poczekalni ssąc cygaro, trochę już mniej się za mną oglądano, byłem jednym z trzody oczekujących, wrosłem w grupę; z nudów przystanąłem przy kiosku ze słodyczami, kupiłem gumę do żucia, znów spacerowałem, przystanąłem przy kiosku z gazetami i zagapiłem się na okładkę jakiegoś niemieckiego magazynu; dziewczyna na okładce przypominała mi pewną Lusię, nie mogłem zdecydować, Lusie to czy nie Lusie, wreszcie kupiłem pismo; przez głośnik poproszono pasażerów odlatujących do Zurychu, aby się i tak dalej.

W samolocie zająłem miejsce przy oknie, szubę położyłem na półce, cylinder się nie mieścił, położyłem go bokiem. Koło mnie usiadł jakiś facet, popatrzył na pismo, które trzymałem w ręce, coś zagadał, chyba po niemiecku, kiwnąłem głową, facet też kiwnął. Lecieliśmy, oglądałem ilustracje, mój sąsiad powiedział coś do mężczyzny siedzącego o rząd przed nami, tamten mu odpowiedział, rozmawiali o jakichś sprawach biurowych, o jakimś przedsiębiorstwie szwajcarskim, umowach, słuchałem jednym uchem, doszedłem do

przekonania, że ciało na okładce to jednak nie Lusia. Tamtym się widocznie temat wyczerpał, bo zamilkli. Po chwili jednak mój sąsiad przemówił szeptem.

– Józek, widzisz tego palanta koło mnie? Odpicował się jak szewc w Boże Ciało...

Niemiec chyba.

– Ktoś go musiał niewąsko w łeb stuknąć, cipa mu się na czole zrobiła – odpowiedział równie cicho. I po chwili: – Nie rozumie, lipi przed siebie jak świnia w koryto.

– Ubrałbyś się tak, Józek?

– Ty się, Staszek, ode mnie odwal.

– Popatrz, Józek, takie fagasisko trznia sobie wszystkich, ubiera się jak mała, a my musimy, ech, kurwa...

– A czort wie, czy on trznia? – zamyślił się. – Jakby był ładowany, toby się nie wygłupiał, te różne przebierańce na Zachodzie to golizna, na kawę nie mają.

– Ale leci samolotem. Jakby nie miał, toby nie leciał.

– Fakt, nie pomyślałem. Posłać by takich do łopaty, toby odechciało im się cyrk urządzać.

– Może to pedał? – wtrącił się trzeci, też siedzący przed nami.

– Jasne, że pedał, bluzkę ma damską, o, guziki na lewą stronę – powiedział pan Staszek.

– Krzyż sobie taki łachmyta na głowie wygolił... Ja bym mu co innego wygolił – rozmarzył się Józek.

– Lepiej uciąć. Kastrować takich obrzymalców i koniec – dla lepszego efektu mój sąsiad strzelił palcami.

– Wtedy nie miałbym cię czym posunąć – powiedziałem.

– O, to pan Polak – mój sąsiad zupełnie się nie zmieszał. – Wzięliśmy pana za Szwaba...

Pan na pewno artysta muzyk, co? Mocne uderzenie, co?

– Jesteś wstydlivy? – powiedziałem.

– Nie jesteśmy na „ty”, łaskawy panie.

Stewardesa była o parę metrów od nas. Wstałem.

– Proszę pani – zawołałem gromko. – Ten pan – tu wskazałem na siedzącego obok – smrodzi okrutnie, proszę go gdzieś przenieść.

Usiadłem.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI